

Co zrobić ze „wzmoczeniem informacyjnym” w nauce?

# Bunt Harvardu

Kiedy w początkach lat sześćdziesiątych zaczynałem działalność naukową, czołowe amerykańskie czasopismo fizyczne „The Physical Review” publikowało prace z całej fizyki raz na miesiąc w jednym zeszytach o objętości 250 stron. Pięćdziesiąt lat później „The Physical Review” ma wydania A, B, C, D, E, F dotyczące różnych dziedzin fizyki, publikowane dwa razy w miesiącu w zeszytach po 600 stron każdy. Podobnie jest z innymi wydawnictwami. Prestiżowe brytyjskie „Nature”, które kiedyś publikowało prace poświęcone całej nauce, rozmnóżło się na kilkanaście specjalistycznych wydań. Najnowszym zjawiskiem jest powstawanie licznych czasopism, najczęściej w Azji. Kilka razy w tygodniu dostaję prośby od redaktorów nowych tytułów o recenzje. A średnio raz na kwartał proponują mi członkostwo komitetu redakcyjnego nowego czasopisma. Zachęcają, żeby im przysłać publikacje, pisać artykuły przeglądowe, namawiać do tego kolegów itp. Mógłbym też jeździć na nieznaną dotąd konferencję, najlepiej w Chinach lub Indiach, i wygłaszać na nich referaty. Jeśli oczywiście sam za wszystko zapłacę.

Na początku, wzięty z zaskoczenia pochlebnymi propozycjami, próbowałem brać udział w niektórych nowych przedsięwzięciach. Szybko jednak zrozumiałem, że większość z nich ma służyć zarabianiu pieniędzy. Nie przeze mnie, przez innych. Ale sprawa jest bardziej skomplikowana.

„Wzmoczenie informacyjne” jest faktem. Na światowej giełdzie nauki pojawiły się „wschodzące rynki” Chin, Indii, Korei Płd., Brazylii, i globalna produkcja wiedzy szybko rośnie. Nic dziwnego, że ktoś chce na tym zrobić interes, w czasach gdy wszystko jest na sprzedaż i nawet szpitale czy cementarze prowadzi się jak dochodowe przedsiębiorstwa. Tym razem do zarabiania pieniędzy próbuje się zaprzęcać uczonych, którzy nie dostają dodatkowych wynagrodzeń ani za publikowanie prac, ani za ich recenzowanie. Bogacą się tylko wydawnictwa. I tu pada zarzut najcięższy – wydawcy hamują przy tym rozwój nauki.

Na tym tle doszło ostatnio do buntu. Zirytowani uczeni stwierdzili, że znane domy wydawnicze pasożytują na nauce. Chodzi o to, że opublikowane prace są dostępne społeczności naukowej tylko za niemałe pieniądze. Zdarzyło mi się już najpierw recenzować (za darmo) pewien artykuł, a potem nie móc skorzystać z jego publikowanej wersji. Uniwersytet Harvarda zwrócił się do naukowców, by nie publikowali w prestiżowych prywatnych czasopismach, bo nie stać go na prenumeratę wszystkich ważnych wydawnictw. Jeśli Harvard ma kłopoty, to co mówić o niewielkich biednych uczelniach? Wytbitny brytyjski matematyk Tim Gowers toczy publiczną wojnę z wielkim holenderskim wydawnictwem

Elsevier. „Nie będę u nich publikował, nie będę im recenzował prac” – deklaruje. Chodzi o to, że Elsevier stosuje sprzedaż związaną: trzeba u nich kupować czasopisma mało znane razem z prestiżowymi. Zarzut hamowania rozwoju nauki jest więc prawdziwy. Potwierdzam też złą opinię o Elsevierze. Niedawno dostałem od nich wykaz prac cytujących mój artykuł; kiedy chciałem je obejrzeć, okazało się, że musiałbym za to zapłacić ponad tysiąc euro. Dyrektor Biblioteki Harvardzkiej Robert Darnton komentuje: „Publikujemy za darmo, recenzujemy za darmo lub za symboliczne kwoty, to samo dotyczy uczestnictwa w radach redakcyjnych, a na końcu musimy za wszystko zapłacić górę pieniędzy. To absurd, z którym trzeba skończyć”.

Trudno nie zgodzić się z Gowersem i Darntonem. Tym bardziej że prywatni wydawcy blokują naukowe informacje uzyskane za pieniądze publiczne. Problem jednak w tym, że prestiż naukowców tożsamy jest dziś z prestiżem czasopism, w których drukują. Młody uczony na dorobku powie: „Gowers może walczyć z Elsevierem, bo jest już sławny, ale ja?”. Prawdą jest, że kiedy oceniamy projekty naukowe składane do European Research Council z prośbą o finansowanie, sprawdzamy najpierw, ile artykułów projektodawca wydrukował w „Nature” lub „Science”. Trzeba by więc zupełnie zmienić system ocen. Rozwiązaniem wydaje się Internet. Każda praca powinna ukazywać się w sieci, a głównym, jeśli nie jedynym kryterium jej oceny powinna być liczba cytowań. To kryterium też nie jest idealne, bo do uzyskania wielu cytowań

trzeba lat, ale dziś świat kręci się szybciej. Ostatnio kryterium sukcesu stała się też liczba ściągnięć prac z sieci.

W praktyce prowadzimy naszą prywatną wojnę od lat. Recenzujemy tylko dla tych czasopism, w których sami publikujemy. Są to wydawnictwa działające na zasadach „non profit”, których prenumerata nie jest zbyt kosztowna. Dostęp do naszych artykułów zapewniamy, zawieszając je w Internecie jeszcze przed publikacją. Sami korzystamy oczywiście w ten sposób z prac innych autorów. W Kongresie USA złożono ostatnio projekty ustaw zakazujące umieszczania w Internecie zrecenzowanych wersji artykułów naukowych. Mam nadzieję, że do uchwalenia tych zakazów nie dojdzie. A gdyby doszło? Cóż, przyłączymy się wtedy do piratów.



**Do zarabiania pieniędzy prywatni wydawcy zaprzęcają uczonych. I blokują dostęp do informacji uzyskanych za publiczne pieniądze**

Włodzimierz Zawadzki  
Instytut Fizyki  
Polska Akademia Nauk  
zawad@ifpan.edu.pl